

Poematy zazdrosne



BOLESŁAW LEŚMIAN

Poematy zazdrosne

Tarcza

Prócz mnie — nie będziesz miał oblubienicy,
Prócz mnie — nie ujmiesz innego zwierciadła,
Byś w niem się własnej odeśnił źrenicy,
Do mosiężnego podobien widziadła!
Żadne ci dziewczę różanem brzemieniem
Kruczego ciała — ramion nie obarczy,
Ni warg znikomem nie skała imieniem, —
Rycerzu! wiernym pozostań swej tarczy!
Ja ci przechowam, odbite w mem łonie,
Doliny, góry, jeziora, niebiosy, —
Ja wrażeń mieczów pogróżki i ciosy
W śpiżowe hymny dla ciebie rozdzwonię!
Twój sen lękliwy uzbroję swą chwałą,
Aby mógł śnić się bez trwogi, bez skazy!
Obronię ciebie miłością wytrwałą
Od złego ognia, od rdzawej zarazy!
Obronię ciebie od wszelkiej tęsknoty
I od uroku zatrutych strumieni, —
Od burzy czarnej, szkarłatnej i złotej,
I od tej, co się po grobach zieleni!
Od niepamięci błękitnych pocisków,
Których się orły w niebie nie ustrzegą!
Od zemsty bożej, od ciebie samego
I od mych własnych ku tobie rozbłysków!

A gdy już w ciszy, pod moją obroną
Pierś twa dojrzeje w kwiat wielki i wonny,
Wtedy jej żadną nie kalaj osłoną
I bądź mi — nagi, i bądź mi — bezbronny!
Nie poskap krwi swej, ni serca, ni ciała
Pazurom bogów, aniołów lub sępów!
Nie wzbraniaj światu, co tęskni i pała,
Nieprzeliczonych do duszy dostępów!
Choćby cię zgrają opadły zaciężną
Wylęgle w słońcu upiory i płazy,
Ty — pierś, śpiewowi na wieki przysiężną,
Odsłoń na ognie, na rdzawę zarazy,
Odsłoń ją nagle na wszelką tęsknotę,
I na uroki zatrutych strumieni,
Na burze czarne, szkarłatne i złote,
I na tę, co się po grobach zieleni!...

Na odtrąconych ukochań powrotność,
Na różobrańczą wichury swawolę,
Na wrzaski orle, na żądze sokole
I rozszalałą istnienia samotność!

Często o tobie sny miewam mosiężne
I o tej chwili — i mojej i twojej, —
Gdy, bezbronnością wyzwolon ze zbroi,
Dosięgniesz tego, co nie jest dosiężne!
Gdy żaden odzew prawdziwy lub mylny
Nie ujdzie twojej stubramnej gościnie,
I gdy świat cały, ku tobie pochylony,
W zaświecie twoim, jak w morzu, zaginie!
Gdy, spłonion ku mnie zniechętą słoneczną
I przytakując zadumie brwią ciemną,
Mnie — już spełnioną, czarownie zbytęczną —
Ciśniesz o ziemię w niepamięć nikczemną!
A ja się z jękiem u stóp twych rozpadnę
Na ognie błędne, na rdzawe zarazy,
Na dzwonnej śmierci ostatnie rozkazy
I zanieśpiewań lamenty kaskadne!
Na wszelką niemoc, na wszelką tęsknotę
I na uroki zatrutych strumieni,
Na burze czarne, szkarłatne i złote,
I na tę, co się po grobach zieleni!...
Na mchy i bluszcze, wypełzłe odziemnie
Ku podeptanej mych śpizów ruinie,
I na to wszystko, co zginąć ma we mnie,
I na to wszystko, co w tobie nie zginie!

Ogród zaklęty

Tak mi mówili aniołowie,
Co znają prawdę, skrytą w słowie,
Że tam, gdzie, wisząc nad przestrzenią,
Brzegi wieczności się zielenią,
Przedarłszy czasu mdle osłony,
Wzgórzami tęsknot otoczony,
Zakwita ogród niezbadany,
Zaczarowany, obłąkany —
Zaczarowany skonem zorzy
I obłąkany mgłą bezdroży!

Więc, wizją skrzydeł spromieniony,
Szedłem w cudowne owe strony,
Poprzez stężonych snów urwiska,
Przez dawnych bytów uroczyska,
I napotkałem w swej podróży
Zerwanej niegdyś widmo róży,
I mary lilij, co w przestworze
Na widziadlanem tkwią jeziorze.

I spotykałem wśród rozdołów
Omszone zwłoki tych aniołów,

Których Bóg strącił w te bezdenie
Za potępięcze serc płomienie.
I spotykałem senne kraje,
Gdzie wszystko mgłą i mgłą się staje,
Gdzie się kołysze w mgieł odmcie
Dziwaczny okręt przy okręcie,
A melancholii słodkie fale
Przez ich pokłady mkną niedbale
I w bezpowrotne płyną dale!..

Aż wreszcie, depcząc pierś obłoku,
Jakiegoś Boga mając w oku,
Z duszą na wschodzie i zachodzie,
Stanąłem błądy w tym ogrodzie!
Tam każde drzewo jest zakłete,
Tam są topole wniebowzięte,
Kaskady drętwe, w snach skąpane,
Mocą obłądów sfaldowane,
I takich jezior tonie sine,
Że straszno spojrzeć w ich głębinę,
Że straszno spojrzeć w ich zwierciadła,
By twarz ci nagle nie pobladła,
Gdy ujrzysz skryte w nich widziadła.

Pod jednym drzewem niezbadanem,
Zaczarowanem, obłąkanem,
Gdzie każdy liść od marzeń kona,
Nawpół stworzona, wpół wysniona,
Królowna cudna odpoczywa!
Z skroni jej warkocz wonny spływa,
Spływa i wpływa w alej głębie,
Zwisa na każdej skały zrębie,
Po wszystkich ścieżkach tak się ściele,
Jak czarodziejskie jakieś ziele,
A w górze — srebrem pałająca,
Niewyczerpana głąb miesiąca!

Mów mi, królowno moja błada,
W jaki się mrok twój sen zapada?
I z jakich stron twych oczu dale?
I z jakich mórż twych warg korale?
I z jakich piekieł twe warkocze,
Po których drżący teraz kroczę?
I mów mi, w jaką wiodą stronę
Warkocze twoje nieskończone, —
Bo mnie na wiek, na wiek już cały
Warkocze twoje opętały!

Ach! idźcie wszyscy, idźcie ze mną
Ku niej — w krainę ponadziemną,
Lecz nie pytajcie mnie (o, Boże!
I któż mnie spytać o to może?)
Gdzie jest ten ogród, gdzie te świąty,
Do których wszystkie tęsknią kwiaty,

I wszystkie dusze snem ozdobne,
Co są do kwiatów tak podobne!

I skąd ta powieść moja zwiewna?
I czym jest cudna ta królewna?
Bo choć mi serce rozplómienia, —
Już nie pamiętam jej imienia!
I choć mi zawsze taka bliska, —
Już nie pamiętam jej nazwiska!

Lecz wiem, że ogród ten istnieje,
Że tai własne moje dzieje,
Ach! dzieje straszne, niezbadane,
Zaczarowane, obłąkane,
Bo mi mówili aniołowie,
Co znają prawdę, skrytą w słowie,
Żem tam, gdzie wisząc nad przestrzenią
Brzegi wieczności się zielenią,
Przedarłszy czasu mdłe osłony,
Wzgórzami tęsknot otoczony,
Zakwita ogród niezbadany,
Zaczarowany, obłąkany!
Zaczarowany skonem zorzy
I obłąkany mgłą bezdroży!

Ballada o dumnym rycerzu

Śpi owo rycerz, śpi bezrozumnie
I raz na zawsze — w dębowej trumnie.

Śmierć, Miłość, Kochanek,
Trup, Ciało

Leży wygodnie, bo się ułożył
Tak, aby nigdy snu nie zatrwożył...

Jego kochanka z różańcem w ręku
Zawodzi, pełna skargi i jęku:

«Przyszłam ci wyznać moje niemoce,
Że nie wiem, jak tam spędzasz swe noce?...

Bo odkąd w ciemnym nocujesz grobie —
Ani ty przy mnie — ani ja przy tobie!

Kochałam oczy i usta twoje,
Wczoraj kochałam, dzisiaj się boję!

Boję się szatą w mrok zaszeleścić,
Boję się w myśli ciebie popieścić!...

Trzy dni się w myśli twój czar promienił,
Dziś nie wiem, ile grób cię odmienił...

Ani mi z tobą łoża podzielić,
Ani urodą swoją weselić —

Darmo przymuszam uparte ciało,
By się twym oczom podobać chciało!

Przy tobie martwym — ja nieszczęśliwa
Wstydzę się tylko, żem jeszcze żywa!...»

Rozważył rycerz, że w słowach — zdrada,
I, po dawnemu leżąc, powiada:

«Choć mi robaki oczy wyżarły, —
Nie wstyd mi tego, żem już — umarły!...

Chociaż podziemiec jestem nikczemny, —
Nie wstyd mi tego, żem już podziemny!...

Taką mam sytość i przepych w próżni,
Że mnie od króla Bóg nie odróżni!

Taka noc błysła nad życia zbiegiem,
Że mi świat cały — jednym noclegiem!

Ani mi słońca, ani mi nieba,
Ani miłości twojej potrzeba!

Ani mi zemsty w onej¹ustroni,
Gdzie krew nie szmerze i miecz nie dzwoni!

Nie znasz ty dumy, nie znasz pogardy
Tych, którzy w ziemi posnęli twardej...

W piersi ich — wielka ciszy potęga
I żaden zawód ich nie dosięga!

I nawet z resztek zsiniałej wargi
Nie wydobędziesz jęku, ni skargi!

Oto w pobliżu mam ja sąsiada,
Co już od serca w proch się rozpada.

Ten ci jest śmiercią ode mnie starszy, —
I śpi, na żmijach głowę oparłszy.

Lecz co przecierpiał i co zobaczył, —
Nawet półszepcem wyrzec nie raczył!

Nie ulżył jękiem niemej żalobie,
Nie wyznał nigdy, co przeżył w grobie!...

A wszak ci w trupach taka moc bywa,
Że trup i w grobie wiele przeżywa!

Lecz Bogu chyba, w dzień zmartwychwstania
W twarz rzuci wzgardę swego wyznania!»

I zamilkł rycerz — dumnie i godnie
I po dawnemu leżał wygodnie.

Jego kochanka z różańcem w ręku
Odeszła, pełna wstydu i lęku...

Trup, Ciało, Robak,
Rozkład, Zaświaty,
Gotycyzm

Trup, Bóg

¹w onej — w tej. [przypis edytorski]

Pantera

Ani mię zgnębią zórz krwawe zawiście,
Ni złote groźby słonecznej potęgi!
Grzbiet mój w złość słońcu czerni się plamiście
W przeciwsłoneczne, przeciwsłoneczne przęgi!...

Gotowam słońce rozszarpać na ćwierci!
Na ziemi — ryk mój, milczenie me — w niebie...
Z nieznanych światów czają się na ciebie
Ja — rozpląsana dookoła śmierci!

Przeciwsłoneczną się — porwij w ramiona,
Bym z ciebie życia wyzarała niemoce,
Bym czuła nozdrzem ten szal, że ktoś kona
W chwili, gdy ja się słońcu przeciwsłoneczę!

W róże mię uwieńcz, w zmierzch winnicy prowadź,
W pałaców głębie — na marmur i kwiaty,
Gdzie win purpura i śmiechu szkarłaty
Chcą falę życia od dna rozfalować!

Wśród dziewcząt — jedna jest tylko w żałobie,
Niepewna losu... zapatrzona w cienie...
Jej ciało — biały sen o samej sobie,
Tym snem objęta — czeka na skinienie.

Rzuć ją w mą żądzę, w puchy mego łona,
Na okamgnienie — nie na długie noce,
Bym nozdrzem czuła szal, że miłość kona
W chwili, gdy ja się słońcu przeciwsłoneczę!...

Ten, kto mię stworzył dla krwi i pieszczoty,
Dał mi skok zwinny, co w śmierć mię przerzuca,
Kły moje wygiął w kształt własnej tęsknoty
I własnym rykiem natężył me płuca!

On we mnie ryczy, szaleje zbłąkany
W moich żył sieci i kości gęstwinie!
Raniąc mię, sobie zadaje te rany,
Które mi w gniewu przeznaczył godzinie!

On razem ze mną hen — w dzikim ostępie
Z wiecznym się głodem w zapasach szamoce,
A ja z nim wspólnie zmorę życia tępię,
I z nim się wspólnie słońcu przeciwsłoneczę!

Kimkolwiek jesteś — czy Lwem niewidzialnym,
Czy wszechobecnym raczej Jaguarem, —
Węszę twe tropy w błękicie upalnym
I kuszę ciała wonnego wyparem!...

Wyjdź na swe żery z jaskini lazurów!
Otom — gotowa!... śnij uczty weselne!
Chcę być radością dla twoich pazurów,
Chcę krwią upoić twe kły nieśmiertelne —

I chcę cię zdradzić, gdy przywrzesz do łona,
Pokąsać w strzępy twą wieczność, twe moce,
By chłonać nozdrzem ten szal, że Bóg kona
W chwili, gdy ja się słońcu przeciwzłocę!

Sidi-Numan

Słynny w całym Bagdadzie z rycerskiej ogłady
I z płomiennej miłości dla białej Aminy,
Sidi-Numan przeklina szczęk owej godziny,
Kiedy nazwał małżonką — ciało, pełne zdrady!

Śniąc zemstę w głębi alej, wśród róż i motyli,
Wahał się, by nie była czcza i bylejaka, —
Aż zakłębem, w odwetów wyszeptanem chwili,
Przeobraził niewierną w białego rumaka!

Stanął rumak, nieświadom cudu nagłych wcieleń,
Oczy, we łbie obrzmiałe, natężył, jak pięście,
Dziwiąc się i dąsając, że soczysta zielen
Nęci go w smakowitym wietrzyka pochrzędzie...

Pełen żądz niespodzianych i nagłych rozjuszeń
Krwi szkarłatnej, co w żyłach samochcąc szeleści,
Próbował nowych skoków, płasów i poruszeń,
Jawiąc w skokach i płasach dawny czar niewieści...

Sidi-Numan go przybrał w uprząż złotowzorą,
Zlewał na wrzące ciało balsamy i nardy —
I poglądał z uśmiechem zwycięskiej pogardy
Na ogon zbyt opędny i na kopyt czworo.

Badał grzywę —
 twór zakłęb i tajemnych przyczyn, —
I zęby — zgodne perły na działach purpurze, —
I, karmiąc zwierzę miodem dojrzałych koniczyn,
Czasem,
 w tkliwej zadumie podawał mu — róże...

Gdy słońce, roztopione w południa bezszumy,
Cisnęło na pierś ziemi cały żar wszechświata,
Sidi-Numan podeptał resztki swej zadumy,
Zasłmiał się, krzyknął: »Allah!«
 i — dosiadł bachmata!

Widział go cały Bagdad, jak, ziejąc zniszczeniem,
Pędził pełen tygrysich złości i rozścierwień, —
Jak zatapiał ostrogi w ran chrapliwą czerwień
I zgrozę chłost oślepych podwajał — milczeniem!

W oczach, lotem obłądnych, schwytane przedmioty,
Jak w lustrze wirującym, mąciły odbicie:
Drzewa, ptaki, jeziora — i miłość i życie —
Wszystko w nic się zemgliło,
 w kurz zaledwo złoty!

W tym kurzu,
gdzie się wspomnień złościła czereda,
Ryczał zwierz, nowym bytom na pastwę oddany!
A jeździec chłonał rozkosz zemsty dokonanej
I doznawał upojeń, jakich miłość nie da!

Wieczory

Wieczory moje, minione wieczory,
Widmem pierścieni złotych i bransolet
Zdobiące sosen pordzewiałe kory
I brzoź biel nikłą!

Szkarłat i fiolet
Snem powikłanym znoją się na chmurach,
Nim się chmur brzegi mgłą zieleni omszą
I w dym zszarzeją w spalonych lazurach.
Głębina parku staje się znajomszą
Nozdrzom, co węższą całe gniazda woni
W zagąszczach krzewów, bo, nabrzmiąle zmierzchem,
Kwiaty rozpustniej swych pyłów rozpierzchem
Drażnią powietrze, przypadłe do skroni
Ziemi, podziemnym opętanej szalem
I czyhającej na zejście niebiosów
Do jezior głębi...

W uciszeniu białem
Oparów, w nic się złączących powoli,
Włóczy się mrowie snów, przysiąg i losów
Niczyich, własnej zostawionych doli,
Nieprzynależnych, prócz siebie, nikomu!
Dusza w tem mrowiu szuka pokryjomu
Wróżb na dzień zeszły... Zaś dłonie obiedwie,
Choć nieruchome zadumy drzemotą,
Czują się — niby wyciągnięte w złotą
Dal — w taką złotą, że widną zaledwie
Oczom, — że aż się w oczach dzieją zmory!...

Wieczory moje, minione wieczory!
Gdziem was nie widział? Na łąkach, obłokiem
Kwiecia zbryzganych! I w lasu przestrzałych,
To tu — to ówdzie wyszperanych okiem
Wśród pni, zestawnych w dowolne szpalery...
Na kołach wozu, które senny wałach
Słońcu na pokaz wlecze, — wszystkie cztery
W ruchliwy korał mieniąc pracowicie...
Na stepach, kędy niespodziane drzewo
Tak się przestrzeni narzuca obficie,
Że się niebiosom czarna staje wnęka!...
W stodoł szczelinie, zaproszonej plewą, —
W szparach opłotów, gdzie przez wybój sęka
Błękit przecieka potajemną strugą
Kropła po kropli — pokrzywom na liście...
Na stogach siana, co, parząc za długo
Zieleń na słońcu, błękitnieje mgliście...
Wśród wierzb, pokłonnych swych gałęzi zwisem

Nurtom ruczajów... I na wzgórzu łysem,
Rudem od szczawiu rdzy i dziennych spiekot...
Na strzech jedwabiu, co, w bociani klekot
Wysłuchane, w gnuśnej grzybieją tęsknocie...
Na zgromadzonem w skrzętny wieniec złocie
Splotów dziewczęcych — i na srebrze starczem
Jakowejś brody wędrownego dziada!...
W zielonych szybach rozszalałych karczem,
Skąd wrzask pijany, wybuchając, wpada
W pobliski cmentarz, co przekrwawia w ponsy
Krzyże przejrzałe i brzóz nagle wstrząsy
I swych jarzębin ogniste paciory!...

Wieczory moje, minione wieczory,
Pełne zarazy urojonych sprzyjań
Duszy, na żmudny sen o szczęściu chorej
I zasluchanej w szmer waszych przemijań
Obłoków skrajem!...

Gdziekolwiek zwidziane —
Wszystkie was wlokę w ślad mojego cienia,
Co zdźbłem błękitu kołacze we ścianę
Chaty, wysnionej stopom w dniu zmęczenia...
Żadnego nie brak! Wszystkie pamięć złocą,
Jako dłoń skapca wszystek skarb sygnetów, —
Bom zawiekował duszą w fioletów
Waszych mgławicy, zapodzianej w sobie!
Śmierć mi nie będzie wiekuiścią Nocą.
Lecz wiekuiстым Wieczorem!... Gdy w grobie
Zdziwię się nagle — bezniebny, beztęczny,
Szparom i trafom bylejakim wdzięczny
Za przypomnienie bylejakich rzeczur,
Kałużysk brudnych lub żabich poziewań, —
Zlećcie się ku mnie — złotsze i zaklętsze —
Na ten ostatni, wiekuiсты Wieczór,
Na tę ostatnią dolę zanieśpiewań!
Niech mej mogiły zamieszkałe wewnątrz
Rozwidnią wasze, purpurowe zorze!
Niech widny Bogu do snu się ułożę
Na wznak — a skronią ugrzęzną w tym błędzie,
Że śmierci niema, nie było, nie będzie!
Są tylko zajścia zórz za ciemne bory...

Wieczory moje, minione wieczory!...

Oczy w niebiosach

Oczy, na zwiady wysłane w głąb oćmy
Nocnego nieba, wspomóżcie się wzajem!

Dwoje nas w mroku, więc wspólnie się złoćmy
Widzeniem światów, dla których powstajem!

Dwoje was w mroku, jak dwoje motyląt,
Co się po barwie poznają w błękicie!

Dwa sny o żaglach, skazane na wyląd
Wspólny w ciemności — mówcie, co widzicie?

Widzimy Czerwiec, zbłąkany wśród cieni,
Rozkwitły w nieba szafirowym skwarze
Bez drzew, bez kwiatów — a śniący w bezmiarze
O jagód leśnych padolnej czerwieni...

Widzimy gwiazdy, jak skrzą się i świecą
Skrytą zielenią, tajemnym szkarłatem
I, upojone swym własnym zaświatem

Pomimowoli wiążą się i klecą
W girlandy, w wieńce (rzucone w obczyznę
Mroków) — i w krzewy zwiłkane i dalej
W zawile gąszcze niedosiężnych alej,
Kędy, srebrząca swych lotów krzywiznę,
Wzbija się sennie dróg mlecznych kurzawa
I, z niespodzianą spotkawszy się chmurą,
Skłębią swe pyły, na chwilę przystawa
W cieniu — i znowu w dal pędzi, za którą
Mży nieskończoność złota i cienista,
Gdzie duch z tchem, w piersi zapartym, korzysta
Z ożywczych pogód ciszy bezupalnej,
Aby istnieniu, co szumi swe szумы,
Przydać tęsknoty i zgrozy oddalnej
I gwiazd naprószyć do ciemnej zadumy...

O, tak! rozszerzyć, rozbując swe życie
Z bezkresu — w bezkres, od szczytu — do szczytu!
Płaczem ogarnąć tę wszystkość błękitu,
I tuż przy chmurze swego serca bicie
Słyszeć — i sercem o ziemię zahaczyć,
Spłoszyć się nagle — i nagle zobaczyć
Wenus, płonąca — sobie i nikomu
Światłem, co w ździeble tai czar ogromu!...
O, tak!... I ujrzeć tam, gdzie duchom — droga,
Na gwiazd siedmiorgu Wielkiej Niedźwiedzicy
Siedem królewien, śpiących w tajemnicy,
Zanim je zbudzi pocałunek Boga!...

O, tak!... A jeszcze?... Zgorzałych snów dymy
I pustych źrenic bezpromienna skrucha...
My — oczy twoje — widzimy, widzimy
Wszystko, co w niebie pożarem wybucha!
Ale nam przestwór urąga i szydzi
Tych gwiazd migotem i mroków udręką,
Że nas — widzących — nikt zowąd nie widzi
I nie dosięga miłością, ni męką!
Myśmy powstały, by chłonąć te światy
I wlec się ku nim bezdrożem a drogą,
Lecz nikt nam, w mroku wyrosłym, jak kwiaty,
Nie przeciwpowstał — i niema nikogo!
I nikt na zwiady w głąb naszą daleką
Nie wyśle strzały, ni pary gołębi!...
Zasłoń nas, zasłoń znużoną powieką,
Nie daj nam patrzeć, władco naszej głębi!

Oczy, na zwiady wysłane w gwiazd roje,
Pochodnie, zgasłe nad marzeń ruczajem, —
Oto was zwolna zamykam — sny moje! —
Oczy zamknięte, wspomóżcie się wzajem!...

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/poematy-zazdrosne>

Tekst opracowany na podstawie: Bolesław Leśmian, *Sad rozstajny*, wyd. J. Mortkowicz, druk W. L. Anczyk i Ska, Warszawa 1912.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Paulina Choromańska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Marta Niedziałkowska, Sylwia Stępkowska.

ISBN 978-83-288-0499-9

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).